

Zadie Smith: „Feel Free” – recenzja Błażeja Gębury

W swojej najnowszej książce autorka „Białych zębów” opisuje współczesne dyskusje i konflikty, wprost zaznaczając swoje poglądy, unika jednak protekcjonalnego tonu, niezależnie od tego, czy zastanawia się nad liberalizmem, skutkami brexitu, globalnym ociepleniem, rasizmem czy multikulturalizmem. I nie może być inaczej, skoro ostatecznie interesuje ją indywidualne doświadczenie, a nie formułowanie manifestów – pisze o książce Zadie Smith „Feel Free” Błażej Gębura dla Teologii Politycznej.

Najciekawsze w niedawno opublikowanym zbiorze esejów Zadie Smith „Feel Free” jest to, że nawet, gdy powtarza za Grahamem Greenem: „stworzyła mnie Anglia” i bez mrugnięcia okiem wylicza, ile zawdzięcza instytucji państwa, to trudno tu o ślad jakiegokolwiek podległości. Pisarka, mimo świadomości warunków, które ją ukształtowały, wciąż pozostaje mądrym i wolnym duchem.

Książka zbiera teksty pisane głównie dla „New York Review of Books”, „Guardiana”, „New Yorkera” i „Haarper’s Magazine”. Wśród nich przeważają wnikliwe recenzje i szkice, dotyczące literatury, fotografii, filmu, muzyki i malarstwa, przeplatane przemowami wygłoszonymi z okazji zdobycia tej czy innej nagrody za kolejną powieść. W przedmowie Smith zaznacza, że te eseje powstawały w czasie ośmioletniej prezydentury Baracka Obamy i w tym sensie, są

„wytworem świata, który przeminął”. Nie oznacza to jednak, że pisarka nie oferuje swoim czytelnikom nic więcej, poza konkretnie ułożoną polityczną melancholią. Z pewnością nie jest zachwycona wyborem Donalda Trumpa, ale nie ma nawyku przypominania o tym przy każdej okazji. Pomimo różnorodności podejmowanych przez nią tematów, cały tom cechuje niezwykła spójność, którą można wytłumaczyć nie tylko znakomitym stylem, ale także pokorą, która gwarantuje, że żadna kolejna strona tej książki nie będzie obfitować w wybuchy narcyzmu. Zdolna do autoironii Smith zauważa zresztą trzeźwo, że zazwyczaj pisarze odznaczają się niesamowitą naiwnością, która niestety zbyt często idzie w parze z ambicjami do formułowania głębokich diagnoz społecznych.

Pomimo różnorodności podejmowanych przez nią tematów, cały tom cechuje niezwykła spójność, którą można wytłumaczyć nie tylko znakomitym stylem, ale także pokorą

Autorka „Białych zębów” opisuje tu współczesne dyskusje i konflikty, wprost zaznaczając swoje poglądy, unika jednak protekcjonalnego tonu, niezależnie od tego, czy zastanawia

się nad liberalizmem, skutkami brexitu, globalnym ociepleniem, rasizmem czy multikulturalizmem. I nie może być inaczej, skoro ostatecznie interesuje ją indywidualne doświadczenie, a nie formułowanie manifestów. I dlatego nie dziwi obecność tekstu opisującego walkę o zachowanie jednej z lokalnych londyńskich bibliotek. Okazują się one być jednymi z niewielu miejsc, wyłączonymi z bezpośredniego politycznego sporu, które oferują obywatelom możliwość przebywania we wspólnej przestrzeni, za co nie trzeba

płacić. Analogiczną rolę dla Smith pełnią kościoły, ale wymagają one wiary we „wszechmocnego stwórcę, jako warunku uzyskania członkostwa”, pod którą pisarka najwyraźniej nie może się podpisać.

Dryf ku utopii

Zresztą w jednym z esejów Smith stara się odpowiedzieć na zarzut kierowany niekiedy przez czytelników, że jej, kiedyś bijące optymizmem, powieści zmieniły się w historii coraz bardziej gorzkie, być może nawet wyrażające po prostu rozpacz. Przyczynę zmiany tych emocjonalnych tonów tłumaczy po prostu swoim własnym dojrzewaniem, doświadczeniem macierzyństwa i poglądzie, że ludzkość jest skazana na swoje ograniczenia i nigdy ich przekroczy. To dość ważna deklaracja, bo świadczy o tym, iż pisarka w swojej twórczości nie zamierza dryfować ku jakiegokolwiek utopii. Z drugiej strony jednak trudno też stawiać Smith zarzut eskapizmu, gdyż cały czas w trakcie lektury, gdzieś między wierszami da się wyczytać przekonanie, że świat należy zostawić przyszłym pokoleniom w lepszym stanie, niż się go zastało, a jeśli to zbyt wygórowany cel, to przynajmniej nie gorszym.

Uderzająca jest też, co rzecz jasna nie powinno zaskakiwać, literackość niektórych obrazów serwowanych przez pisarkę. Chodzi tu na przykład o scenę, w której Zadie Smith będąc w zaawansowanej ciąży, podczas huraganu Sandy schodzi piętnaście pięter w dół, żeby napisać w piwnicy e-mail do znajomego negującego zmiany klimatyczne, albo o fragment opisujący nocny rejs łodzią po Tamizie w towarzystwie innych brytyjskich pisarzy. Podjęta przy tej okazji próba nawiązania przez Smith rozmowy z J.G. Ballardem, autorem powieści „Imperium

W jednym z esejów Smith stara się odpowiedzieć na zarzut, że jej, kiedyś bijące optymizmem, powieści zmieniły się w historii coraz bardziej gorzkie, być może nawet wyrażające po prostu rozpacz

słońca”, kończy się fiaskiem, bo znudzony rozmówca po prostu odwraca się, żeby spojrzeć na ledwie widoczną kolumnę, na której wspiera się jeden z mijanych przez łódź budynków.

Jednak wszystkie te fragmenty przyćmiewa opowieść o pożarze, nieświadomie spowodowanym przez Zadie Smith, w którym szczęśliwie nikt nie ucierpiał. Spłonęła w nim rzymska kamienica, wraz z mieszczącym się w niej mieszkaniem pisarki i jej męża. Za zgodą strażaków autorka weszła do środka i pod wizerunkiem Madonny odnalazła niezniszczony maszynopis książki jej męża. To zdarzenie zostaje ujawnione dopiero pod koniec tekstu, ale aluzje do tragicznego finału pojawiają się jako komentarze do spalenia na stosie Giordana Bruna i wypowiedanej przez Smith kwestii: „Spaliłam przecież plac”.

Smith intrygująco opisuje nie tylko Rzym i Londyn, w którym się wychowała, ale także Nowy Jork, gdzie mieszka, prowadząc wykłady z zakresu creative writing. W pewnym sensie więc można powiedzieć, że ta książka, powinna nosić nieco przetworzony tytuł jednej z powieści Charlesa Dickensa: „Opowieść o trzech miastach”. Zresztą trudno nie odnieść wrażenia, że przeprowadzając się do USA, pisarka zabrała ze sobą cały bagaż angielskiej kultury, z właściwą dla niej skłonnością do wyważonych, choć jednocześnie nasyconych ironią sądów. Zresztą

Manhattan to dla autorki „Swing time” miejsce, któremu kończy się artystyczna energia, dostarczana na ogół przez środowisko młodych twórców, pielgrzymujących tu z Brooklynu. Smith stwierdza wprost, że w pewnym sensie nie można już mieć nadziei, mieszkając na tej wyspie, ale tutaj, w odróżnieniu od rodzinnego Londynu, autorka jest w stanie regularnie pisać i skupić się na pracy. W Nowym Jorku „robota jest po prostu zrobiona”.

Sceptyczne memento

„Feel Free” można zresztą traktować jako zbiór przypominający czytelnikowi nie tylko o ambicjach literatury, nawet jeśli rozległych, choć jednocześnie skromnych, ale także o jej nieprzekraczalnych granicach. Przewijają się też pytania o istotę bycia sobą i o to, w jaki sposób wolność realizuje się we współczesnym świecie. W pewnym sensie bardziej dotyczą one pisarza, niż jego czytelników, gdyż każdy autor musi być świadomy tego, że swoją twórczością „pomaga w jednym miejscu, ale jednocześnie szkodzi w innym”, zwłaszcza, gdy wyróżnia jakieś postawy moralne jako godne naśladowania.

Bardzo znaczący jest fragment, mówiący o odkryciu przez Smith, że pisanie powieści w pierwszej osobie liczby pojedynczej, nie tylko jest artystycznie dopuszczalne, ale pozwala konstruować fabułę w zupełnie inny sposób. Pozwala przecież odejść od narracji wychodzącej od frazy: „dawno, dawno temu...”, która wymaga od pisarza wykreowania świata przedstawionego, aby był jak najbardziej wiarygodny. Natomiast skorzystanie z pierwszoosobowej perspektywy pozwala od razu odwołać się do czyichś doświadczeń, które mogłyby być nasze, gdyby świat wyglądał nieco inaczej. Zadie Smith zresztą z przekonaniem

*Skorzystanie z
pierwszoosobowej
perspektywy pozwala od razu
odwołać się do czyichś
doświadczeń, które mogłyby
być nasze, gdyby świat
wyglądał nieco inaczej*

stawia postulat
głoszący, że, choć
sztuka „z pewnością
rodzi wiele
złożonych
problemów, to
zajmowanie się
duszą powinno być
jednym z nich”.

Choć z jednej strony
Smith zauważa ostrożnie, że powieści mogą mieć jakiś daleki wpływ na
życiowe postawy zajmowane przez czytelników, jednak dodaje tu
również sceptyczne memento, wobec tych, którzy sądzą, że beletrystyka
bezpośrednio zmienia świat. Jak twierdzi, „jedyne co może się w ogóle
pojawić na stronie książki, to tylko czasowniki i przymiotniki,
rzeczowniki i przysłówki, oraz ten potężny zaimek »Ja«”. Można więc
powiedzieć, że literatura wyznacza sobie cele, których z bardzo
poważnych powodów nie jest w stanie ostatecznie zrealizować. To co
można za jej pomocą uzyskać wydaje się być bardzo prowizoryczne i
niewystarczające. W oczekiwaniu na następną książkę Zadie Smith
(„The Fraud”), która według wydawcy będzie miała premierę w
przyszłym roku, należy zapamiętać następującą deklarację pisarki: „W
powieści nie da się, nawet częściowo, odwzorować człowieka za pomocą
zdań. Echa, cienie, przekłady, fragmenty – tylko tyle może osiągnąć
literatura”.

Błażej Gębura

